

## **Biuletyn Klubu Rasy Dog Niemiecki Łódź 1/2011**

### **HISTORIA KURNIKA STAREGO PIERNIKA**

Na początku był dog peregowany. Miałem chyba 10 lat, wracałem ze szkoły, gdy na klatce schodowej powitał mnie wielki ośliniony ryj. Nie pamiętam nawet czy to był pies, czy suka. Ogromny łeb, pomarańczowo – czarne cielsko stało na podeście klatki schodowej a ja o mało nie popuściłem się w gacie. To był mój pierwszy bezpośredni kontakt z dogiem niemieckim. Dog niemiecki w tym czasie (lata siedemdziesiąte) był zjawiskiem, nie psem. Nie mogłem się nadziwić, że pies może być w kolorze pomarańczowym. Dziś wiem, że pomarańczowe pereguski to rarytas.

Potem był Oskar. Oskar był dogiem czarnym. Pojawił się na naszym osiedlu, gdy miałem pewnie 12 lat. Chodził po naszym podwórku, straszyl ludzi, a w rzeczywistości musiał być bardzo dobrze wychowanym psem. Nie wiem, czy głodował, ale gdy wszedł na naszą klatkę schodową dostał od moich rodziców kość. Była to kość z tak zwanego całego schabu wieprzowego, czyli ok. 50 cm długości. Zeżarł ją w 30 sekund. Nie wiem czy nazywał się Oskar, nie pamiętam, skąd było to imię, ale reagował na nie. Oskar przez kilka tygodni odprowadzał mnie na przystanek. Nieważne, rano czy wieczorem, był i czekał na mnie. Trwało to kilka tygodni. Oskar uwielbiał na powitanie skakać na gościa, opierając przednie łapy o ramiona człowieka (dziś wiem, że dogi robią to namiętnie), powodując, przypuszczam, rozluźnienie zwieracza dolnego. Wiem o tym, bo jeden z kolegów mojego ojca został tak przywitany i przez wiele jeszcze lat mówił „jak to możliwe, że się wtedy nie zesrałem w gacie”, prawdy nikt nie pozna. Oskar był z nami przez kilka tygodni, potem zniknął. Przypuszczam, że był przypisany do właściciela pobliskiego „Baru pod Sosnami”, który w latach siedemdziesiątych był punktem spotkań tzw. prywatnej inicjatywy w Aninie.

Potem było wiele lat ciszy. Owszem, były dogi w filmach „Przygody Pana Michała”, „Nie lubię poniedziałku”, „Poszukiwany, poszukiwana” czy „Mężczyzna z M-3”, ale to wszystko było tylko łaskotaniem próżności – mieć własnego doga. Była szkoła, były studia, dog pozostawał w podświadomości, ale nigdy nie był celem. A potem poznałem moją przyszłą żonę, Beatę i sen wrócił. Opowiadała o dogach przy Nowogrodzkiej i postanowiliśmy, że chcemy mieć doga. Wiedzeni niewielką zasobnością portfela poszliśmy na stadion X-lecia w Warszawie. Z tekturowego pudełka wystawały 4 psie ryje – 2 szare (tak je wtedy nazywaliśmy), 1 czarny i 1 arlekin. Powiedziałem Beacie, że jeżeli nie ma pewności, że to „coś” będzie podobne do doga, to niech przynajmniej będzie oryginalne – kupiliśmy suczkę merle. Nazwaliśmy ją Buka wedle nazwy szarego stwora z Muminków. Czas pokazał, że była to najmądrzejsza z naszych wszystkich suk – wychowała się z naszą córką Olą i nikt tak, jak ona, jej nie bronił. Bywały przypadki, że koleżanki w zabawie próbowały „podnieść rękę” na Olę, gdy nagle pojawiała się warcząca Buka. Nigdy nie zrobiła krzywdy koleżankom Oli, ale nawet mnie samego ugryzła w tyłek, kiedy uznała, że zabawa w „berka” może zagrozić Oli.

Potem pojawił się Franek. „Pojawił się” to niezupełnie prawdziwe określenie, po prostu pojechałem na giełdę zwierząt na Augustówkę w Warszawie i kupiłem błękitnego szczeniaka po słynnym Mruku. Franek był psem w pełnym znaczeniu tego słowa. Gdy był mały napadł go owczarek niemiecki sąsiadów (mieszkaliśmy wtedy w bloku, na piętrze było co najmniej 6 psów). Franek zapamiętał to sobie i gdy nadszedł czas przypominał sąsiadowi, kto tu jest psem. Franek miał wspaniałą cechę, na odległość wyczuwał ludzi „w innym stanie świadomości” i warczał na ich widok tak, że żaden nie odważył się podejść do mnie czy Beaty. Miał też swojego stałego wroga – rottweilera – ale gdy raz się wyrwał dostał od niego w ucho i przestał się stawiać. Wychodziliśmy wtedy na spacer z psami bez smyczy i bez kagańców, pozwalaliśmy naszym psom robić na co tylko miały ochotę. Paru sąsiadów się wkurzało, jeden nawet straszyl policją albo tzw. wpier...em, ale nam się wydawało, że ci ludzie nie wiedzą o czym mówią, przecież nasze psy były takie przyjazne. Dziś wiem, że nie wolno puszczać doga niemieckiego luzem, bo wielu ludzi po prostu się go boi, pewnie z racji jego rozmiarów, a poza tym, nie można narzucać innym swojego poglądu. Od tamtych czasów, jeżeli wychodzę z psami poza teren swojej działki, staram się pamiętać, że nie wszyscy kochają dogi, a większość się ich boi.

Franek odszedł po długich zmaganiach z rakiem kości w 2001 roku, Buka po zmaganiach z marskością wątroby w 2002. Oba psy odeszły, w pewnym sensie, na nasze polecenie, ale nikomu nie życzę podejmowania decyzji kiedy skrócić psu cierpienia. Po fakcie zawsze wydaje się nam, że było za wcześnie. Niedowiarków odsyłam do książki „Cudowna Gracie” - książki o miłości do psa i jej nieuchronnym finale.

W 2002 roku kupiliśmy działkę z niewykończonym domem. Buka miała jeszcze okazję przebiec się po naszej przyszłej „posiadłości”, ale, niestety, zaraz potem odeszła. Nie byliśmy pewni, czy chcemy kolejnego przyjaciela, który zapewne opuści ten dziwny świat przed nami, ale trwało to krótko. W kwietniu 2002 pojawiła się Ala, dokładnie Al-Kahira Thidalium, która wypełniła nasz smutek i jest z nami do dziś. Ala jest prawdziwą damą, rządzi stadem, chociaż sił jej czasami brakuje, ale nie da sobie „podskoczyć” nawet najmłodszym w stadzie. Tak, teraz to jest stado, dogi w ilości powyżej 1 tworzą stado, które albo broni domu albo poluje (z czym mamy pewien problem, kiedy dostrzegają w lesie sarny). Ala była sama do jesieni 2002 roku, kiedy pojawiła się Frania. Nazwaliśmy ją Franią po Franku, ale nazywa się Paprika Margarejro. Nie polecam tego zabiegu, bo Frania, podobnie jak Franek, stała się dogiem ADHD – chociaż jest posłuszna, żyje w swoim świecie, w którym podstawą jest zjadanie gleby i czyhanie na naszych sąsiadów – berneńskie psy pasterskie. Zmienia się całkowicie, gdy na stole leży coś do zjedzenia, wtedy kładzie głowę na ramieniu osoby najbliższej jedzenia i wygląda jakby nic nie jadła od kilku dni.

Po Frani przybyła Stefka, czyli oficjalnie Stefanka. Przez naszą córkę nazywana jest „moherkiem” ale nie ma to nic wspólnego z jej nastawieniem do wiary. Stefanka jest żółtym dogiem, który opala się na czarno, ciągnie za sobą gluty dłuższe niż Nil i pochodzi ze znanej hodowli „Z Kuźni Napoleońskiej” z której współwłaścicielem – Jaśkiem Gabrysiakiem, mam nadzieję, udało mi się zaprzyjaźnić. Tak jak wyjątkowy to był człowiek w stosunku do psów, tak wyjątkowa jest Stefanka w stosunku do ludzi. Zero agresji w ich kierunku, ponadto jest kontynuacją linii gadających dogów (po Maciejce), które bez problemu mówią „mama” na zawołanie.

Teraz czas na naszego pierwszego wyhodowanego szczeniaka – suczkę A'la Italiana. Pies „indygo”. Ja znam swoją siłę i swoje prawa, pocałuj mnie w dupę. Rzeczywiście rządziła stadem, z Alą, swoją matką, tolerowały się i nigdy nie doszło do spięcia, ale to Italiana była szefem. Była „iskrą” w naszym stadzie. Odeszła bez oczywistego powodu, ale zostawiła po sobie miot, z którego u nas została Dumka na Dwa Serca, o czym później. Italiana była naszą Pocahontas, cały czas „pędziła jak wiatr” po ogrodzie. To ona wprowadziła w naszej rodzinie zwyczaj transferowania mózgu. Potrafiła przez kilka minut stać z czołem przytulonym do mojego czoła bez ruchu, chociaż czasem myślę, że zawartość jej mózgu była większa od mojej. Jej życie opisuje stwierdzenie „przyszła i wyszła” chociaż trwało to 5 lat.

Tymczasem po urodzeniu Italyany przyszedł czas na drugi miot Al- Kahiry. Normalnie, jak to po arlekinie i czarnym, urodziły się dwa dogi żółte i dwa czarne. Jeden z czarnych – Mamba, lub oficjalnie Bajeczna Olcia, został z nami. Dziś wiemy, że była to dobra decyzja, Mamba jest wyjątkowym psem, zawsze cię obliże, a jest na tyle duża, że również cię przewróci. Mamba nie widzi przeszkód, po prostu je pokonuje. Stół czy człowiek, nie ma znaczenia. Uwielbia też robić to co Oskar – wskakiwać na ramiona witanej osoby. Z punktu widzenia sędziów jest pokraką, nie lubi biegać na wystawach, ale prywatnie to anioł.

Po Mambie czas na Asię. To niezwykle pies. Jest córką naszej Stefanki (oficjalnie „Córka Stefanki”) i odziedziczyła po niej najlepsze cechy: gada, chociaż głównie jest to „Uuuuuu”, ale za to bardzo długie. Asia jest mi oddana bezgranicznie. Razem siejemy trawę, razem ścigamy żaby w ogrodzie, żadna inna suka nie chodzi za mną „krok w krok”. Razem oglądamy z uwagą miejsca, które Asia wcześniej obsikała (dla niezwiązanych z ogrodem są to miejsca, w których trawa usycha) i razem ustalamy co zrobić, żeby trawa znów w nich wyrosła. Asia, jako jedynaczka, ma pewną specyficzną cechę, której nie mają inne dogi – nie oblizuje petenta – przypuszczamy, że jest to wynik braku innych szczeniąt w miocie. Asia jest prawdziwą jedynaczką i nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby ją sprzedać. Nawet teraz, kiedy piszę ten artykuł, Asia razem ze mną sprawdza, czy canelloni już „doszły” czy jeszcze trzeba poczekać.

Najmłodszą w naszym stadzie jest Dumka na Dwa Serca, czyli po domowemu Dupa. Została

u nas z miotu Italiany i nie chcemy jej oddać. Dupa jaka jest każdy widzi. Dupa z przodu, dupa z tyłu. Dupa jest niby „płaszczem”, ale jednocześnie jest „arlekinem”. Nie znam się tych genetycznych „allelach”, nie potrafię więc jednoznacznie stwierdzić kim Dupa jest. Na pewno jest naszą ukochaną (nie bardziej ani nie mniej niż inne w stadzie) córeczką. Mnie nauczyła wyzbycia się przemocy wobec psów. Kiedyś, zimą, nie chciała przyjść do domu. Bardzo mnie to wkurzyło i pogałem za nią po śniegu głębokości 20 cm w klapkach. Kiedy ją dopadłem, gubiąc po drodze klapki, po trwającym kilka minut pościgu, chciałem ją zlać. Ponieważ było to w kilka dni po „zejściu” jej matki – Italiany – w ostatniej chwili, może trochę później, bo złapałem ją za kark, zastanowiłem się nad sobą i swoją głupotą. Nie bij psa, ty głupku, tylko mu wytłumacz, że bardziej niż zwykle zależy ci na tym, żeby do ciebie wrócił. Od tamtej pory nie mam problemu z jej przywołaniem. Dziś rewanżuje się nieustanną chęcią „brania na kolana” zapominając o tym, że waży już ponad 60 kg. Przypuszczam, że zostanie „szefem” stada, tak, jak jej matka.

Wiem od innych hodowców, że sprzedawanie szczeniaków jest jak sprzedawanie dzieci. Wszyscy wiemy, że hodowla powinna mieć na celu ulepszenie rasy, ale sumienie mówi że jest to sprzedawanie własnych krewnych. Dbajmy tylko o to, żeby nasze „dzieci” nie trafiły do psychopatów, fanatyków ogródków lub innych ludzi, którzy z tą rasą nie powinni mieć nic wspólnego. Dog to też człowiek.

Radość 23.07.2010